

„Słowo »Żyd« było niewymawialne”  
O mikrologii roślin i zwierząt jako perspektywie  
dla badań Zagłady  
Z Aleksandrem Nawareckim rozmawiają  
Marta Tomczok i Beata Mytych-Forajter

**Aleksander Nawarecki:** Dziękując za zaproszenie, chciałem się upewnić, czy nie zaszła pomyłka. Mój tekst o Zuzannie Ginczance jest jeszcze w druku<sup>1</sup>, to zresztą drobiazg, podobnie jak ten o Julianie Tuwimie<sup>2</sup>, więc badaczem Zagłady się nie czuję i raczej nim już nie będę.

**Marta Tomczok:** A dlaczego? Mamy powód do rozmowy!

**A.N.:** Powód jest prosty – poza lekturą obowiązkową nie czytam o wojnie ani nie oglądam filmów. Jakoś nie mogę myśleć o wojnie, okupacji, a cóż dopiero o Zagładzie. Może dlatego, że w podstawówce czytaliśmy o tym codziennie, a może dwa razy na dzień i wojna stała się częścią szkolnego koszmaru.

**M.T.:** Chciałam porozmawiać o humanistyce i jej metodach. Może zatem zaczniemy od *animal turn* i tego, jak ocenia Pan wartość tego zwrotu z perspektywy wydanej w 1996 roku *Pokrzywy*.

**A.N.:** Pewnie należy się cieszyć, że ta myśl przeniknęła do polskiego literaturoznawstwa: nie było jej, a jest. Ale nie z lasu przysła, raczej z Zachodu, jak

---

<sup>1</sup> Zob. A. NAWARECKI: „Non omnis moriar”. *Lektura jednej litery*. W: *Swojskość, obcość, różnorodność. Wokół Zuzanny Ginczanki*. Red. A. ARASZKIEWICZ, B. KEFF, J. POGORZELSKA (w druku).

<sup>2</sup> Por. A. NAWARECKI: *Postscriptum II: Requiem na lepie. O „Musze” Juliana Tuwima*. W: TENŻE: *Paraferalia. O rzeczach i marzeniach*. Katowice 2014, s. 229–245.

inne mody, więc się nie ekscytuję, ponieważ o zwierzętach zawsze pisałem, niejako spontanicznie. Tak samo jak Jacek Leociak, który został badaczem Holokaustu, kiedy zdał sobie sprawę, że grając w piłkę, biega po pokruszonych ceglach z getta. A w moim miejscu pracy wyrosła pokrzywa, na balkonie mojej kawalerki na osiedlu Paderewskiego<sup>3</sup>, na dziesiątym piętrze, w szczelinie betonu – dorodna brzoźka. Rośliny same przychodziły do mnie, jakby chciały coś powiedzieć, podobnie zwierzęta, więc próbowałem myśleć i pisać z nimi na spółkę. Reakcje ludzi na moje „zoofilologiczne” teksty były tyleż życzliwe, ile pobłażliwe – że niby takie sympatyczne głupstwa... Inne sprawy były ważne. Od natury izolowała nas kultura nowoczesna, byliśmy nią przywaleni, ja też. Nigdy jednak nie zapomniałem, że najważniejsze, czyli dziecinne, lektury opowiadały o zwierzętach, pełno ich było w *Biblii* i na obrazach, do których pielgrzymowałem autostopem po Europie – Pisanello, Roelandt Savery, Pietro Longhi, ten od *Nosorożca*. Tymczasem na polonistyce ani słowa o tym.

**M.T.:** Więc jak to się zaczęło?

**A.N.:** Podkreślam przygodność początków: ptak, który na balkon przyleciał i został, a z drugiej strony – koledzy, którzy wyciągnęli mnie na sesję o barokowej wyobraźni i zobaczyłem świat niby ogród zoologiczny. Albo jeszcze inaczej, recenzowałem Pani doktorat o Leo Lipskim i zaintrygował mnie brak wzmianki o fekaliach, których tam moc, bo jak żyje się z papugami, to guano jest wszechobecne i ma się szczególną wrażliwość na ten aspekt natury.

**M.T.:** Tak, pamiętam także Pana ekstatyczny okrzyk w tej samej sprawie z wystąpienia konferencyjnego. A przy okazji wyjaśnię, że w prozie Lipskiego kupy należą wyłącznie do ludzi.

**A.N.:** Ludzkie czy nieludzkie, tego się długo uczyłem, ale teraz odróżniam kozie bobki i odchody jelenia czy dzika, widziałem zieloną kupę łosia i gigantyczną – niedźwiedzia. Czytam je tak jak tropy i wypluwki, bo z upływem czasu coraz częściej jestem w lesie, prawie codziennie.

**M.T.:** Czy to warunek, żeby uprawiać *animal studies*?

**A.N.:** O nie! Pamięta Pani katowickie seminarium z udziałem Anny Barcz<sup>4</sup> Zapytana o genezę *Realizmu ekologicznego*...<sup>5</sup> stanowczo zaznaczyła, że nie chce

<sup>3</sup> Jedno z największych osiedli w śródmieściu Katowic.

<sup>4</sup> Przygotowane przez Centrum Studiów nad Dyskursami Zagłady spotkanie z dr Anną Barcz i dr. hab. Piotrem Krupińskim, poświęcone związkom badań nad zwierzętami z Zagładą, odbyło się 27 kwietnia 2017 r. w Katowicach na Wydziale Filologicznym.

<sup>5</sup> Por. A. BARCZ: *Realizm ekologiczny. Od ekokrytyki do zookrytyki w literaturze polskiej*. Katowice 2016.

mówić o swoich relacjach ze zwierzętami, że złości ją moda na prywatne zwierzenia. Impulsem była dla niej książka *L'animal que donc je sui* Jacques'a Derridy. Ja to rozumiem i szanuję, bo czy trzeba hodować chomika, żeby zyskać prawo głosu? My filolodzy najlepiej wiemy, że kluczowe jest doświadczenie językowe.

**M.T.:** Co zatem na tym polu stało się dla Pana impulsem? Badania tematologiczne Janiny Abramowskiej, bogata retoryka i topika literatury?

**A.N.:** Zaskoczyła mnie Pani, przywołując Profesor Abramowską, choć autorka *Pisarzy w zwierzyńcu* faktycznie mogłaby patronować polskiemu „zwrotowi”! Dla mnie to bratnia dusza czy siostrzana, a nawet matczyną, gdyż napisała recenzję wydawniczą mojej debiutanckiej książki o księdzu Józefie Bace<sup>6</sup>, gdzie po raz pierwszy pisałem o zwierzętach, i to była bardzo empatyczna opinia. Szkoda, że osobiście spotkaliśmy się tylko raz.

**M.T.:** Korzystał Pan ze studiów Abramowskiej nad topiką?

**A.N.:** Niewiele, bo „mijaliśmy się”. Książka Abramowskiej o apologu<sup>7</sup> ukazała się w tym samym czasie, co *Czarny karnawał...*, a wtedy moje zainteresowania przesuwają się od przyrody ku przedmiotom. Ale znam wagę jej dokonań, bo dekadę wcześniej, kiedy rozpaczliwie szukałem choćby wzmianki o zwierzętach w literaturze dawnej, nie znalazłem niczego. Ten brak był szokujący; Abramowska to zmieniała, choć jej wczesne prace są pisane gęstym, strukturalistycznym językiem.

**M.T.:** A prace Gastona Bachelarda?

**A.N.:** On dla mnie był pierwszy i najważniejszy, a zaciągnięte długie wciąż rosną. Nie idzie tylko o naturę, substancje czy żywy. Rewelacją pozostaje jego „topofilia”, czyli umiłowanie miejsca i w ogóle afirmatywny stosunek do życia i słowa. Bachelard był wielkim przyrodnikiem, ale zoologii nie uprawiał. Motywy i symbole też go nie interesowały. Jedynie czysta wizja – fenomenologia obrazu – więc pisanie traktowane jako marzenie o zwierzętach. A każdy pisarz fantazjuje o nich trochę inaczej... Na warszawskim seminarium Marii Janion, na które trafiłem jako doktorant IBL PAN pod koniec lat 70., fantazmaty przeżywały wielki tryumf, Profesor zalecała też lekturę innych Francuzów: Rogera Caillois (*Modliszka*), Gilberta Duranda, a zwłaszcza Georges'a Bataille'a, bo wtedy rodziła się seria „Transgresje”. I w tych najdzikszych seminaryjnych przekroczeniach pojawiały się różne istoty, choćby muchy Witolda Gombrowicza. Chyba tylko

<sup>6</sup> Zob. A. NAWARECKI: *Czarny karnawał. „Uwagi śmierci niechybnej” księdza Baki – poetyka tekstu i paradoksy recepcji*. Wrocław-Warszawa-Kraków 1991.

<sup>7</sup> Zob. J. ABRAMOWSKA: *Polska bajka ezopowa*. Poznań 1991.

tam one w Polsce latały. Dziś ze wzruszeniem słyszę, że dziewięćdziesięcioparoletnia Profesor najwięcej czasu poświęca oglądaniu filmów o zwierzętach.

**M.T.:** Pisał Pan doktorat u Marii Janion?

**A.N.:** Tak, o wspomnianych *Uwagach śmierci niechybnej* księdza Baki, legendarnego grafomana; dla Promotorki pociągające było łamanie tabu, także religijnego, czyli bluźnierstwa, ale przede wszystkim naruszenie majestatu śmierci, co Profesor prywatnie kojarzyła z nazizmem i stalinizmem. Ale faktem była Bakowska animalizacja umierania. W maleńkim poemacie znajduje się prawie sto wzmianek o zwierzętach, w tym ponad pięćdziesiąt nazw gatunków, i one wykonują tam niezliczone mordercze czynności. Ani trochę nie przypominają nobliwych alegorii z traktatów średniowiecznych.

**M.T.:** I są autonomicznymi bytami?

**A.N.:** Hm, wszechobecną bohaterką jest śmierć i to ona ma cechy tych bestii, ale porównanie staje się utożsamieniem, te zwierzęta zaś są niebywale zmysłowe i nieokiełznane...

**M.T.:** Ale czy są tam obecne ze względu na człowieka?

**A.N.:** No tak, są po to, żeby go dręczyć i zabić. Śmierć jest wpisana w naturę, ale nie jako uniwersalne prawo, lecz konkretnie, namacalnie, jako akt fizyczny i psychiczny, realność agonii, która spada na nas nieoczekiwanie – „Śmierć jak kot wpadnie w lot!”<sup>8</sup>. Może być małą pszczołką, robaczkiem, jeżem i oczywiście kotem... bo psem to jest akurat diabeł – „A zaś bies zły to pies.” (B, 57). Ale zły duch szczyrzy zęby i kłapie szczęką jak zwyczajny kundel. Alegorie też zostają udosłownione: „Szłapio, kroczo i ochoczo / Dążą fata, ani zбочą” (B, 102) – to mój ulubiony cytat, tutaj Fatum, czyli Los, zostaje pomniejszony, napisany małą literą i rozmnożony w stado bliżej nieokreślonych drapieżników czy gryzoni, które fenomenalnie przebierają łapkami.

**M.T.:** Baka byłby jednym z pierwszych polskich nieantropocentrycznych pisarzy?

**A.N.:** Tu łatwo o nieporozumienie. Baka był „niehumaniczny” w dosłownym znaczeniu słowa, inaczej mówiąc: „potworny”. W jego nihilistycznej wizji człowiek zostaje wyzuty z człowieczeństwa. Każde zdanie jest po to, żeby go upodlić; nawet tam, gdzie natura zdaje się słodka i urocza – „Śliczny Jasiu, mowny szpasiu, / Mój słowiku, będzie zyku.” (B, 62).

---

<sup>8</sup> J. BAKA: *Uwagi*. Oprac. A. Czyż, A. NAWARECKI. Lublin 2000, s. 62. Wszystkie cytaty z tej edycji oznaczamy skrótem: B i numerem strony.

**M.T.:** Może przed niebezpieczeństwem antropomorfizacji świata roślin i zwierząt ratowało Bakę upodobanie do rymów męskich?

**A.N.:** Celna uwaga, bo świat opisywany w pośpiechu – także cierpienie i śmierć – staje się komiczny. To odkrycie Woltera. Ale Janion podsunęła mi pomysły Antonina Artauda, który szedł jeszcze dalej, marzył, żeby w ferworze okrucieństwa zniszczyć język<sup>9</sup>. I Baka czegoś podobnego dokonał „kusym rymem”, przy okazji rozwalając strofę. Z ośmiowersza używanego przez jezuickich poetów zrobił miazgę, posiekał te osiem linijek na kawałki, jakby wyjął je psu z mordy. Ale dopiero Bachelard pokazał mi, jak można opisać tę destrukcję.

**M.T.:** Czy to zatem nie Bachelard dowartościował – zostaliśmy przy hipotezie nieantropocentryczności poezji Baki – tę nową perspektywę czytania literatury?

**A.N.:** Jego rekonstrukcja Lautréamonta była olśniewająca<sup>10</sup>. Opisując majaki wpisane w *Pieśni Maldorora*, ujawnił ich animalną motorykę. W poetyckim zwierzyńcu rozpoznał same drapieżniki, które gwałtownie szarpia i rozrywają. Zobaczył tu znamię „poezji napastliwej”. W *Uwagach śmierci niechybnej* też rządzi logika kłów i szponów, dlatego na wzór *Bestiarium Lautréamonta* napisałem *Bestiarium ks. Baki*, aluzyjnym tytułem wskazując mistrza. Szukałem także innych inspiracji, przyjaciele romanisci i angliści chcieli pomóc – i nic. Biblioteka IBL sprowadziła dla mnie włoską książkę z „przemianami zwierząt” w tytule. Byłem strasznie podniecony, a to się okazało klasyczną dysertacją o *Metamorfozach* Owidiusza. Trop antyczny akurat bardzo celny i subtelny, ale ja byłem wtedy za blisko ziemi.

**M.T.:** Skoro jesteśmy przy gruncie, w rejonach gnijącego ciała, zapytam: czy u Baki występują bytujące w gnijącym ciele roztocza i owady?

**A.N.:** „Robacy bez pracy / Otoczą, roztoczą” (B, 96) – dobre, prawda? Zawsze widać furię niszczenia, nawet w skali mikro, chociaż „praca zgnilizny” to proces mało dynamiczny, jakby „kobięcy”.

**Beata Mytych-Forajter:** Chłopacy go interesują.

**A.N.:** Chyba bardziej, ale mamy też kawałki o kobiecym makijażu, kiedy śmierć „pudruje siwizną, zgnilizną” (B, 70), ozdabia ropą, gnojem i muchami, a wreszcie puenta – „Nic nie miło, gdy się zgniło” (B, 71).

<sup>9</sup> Por. A. ARTAUD: *Listy o języku*. W: TENŻE: *Teatr i jego sobowtór*. Przeł. J. BŁOŃSKI. Warszawa 1966, s. 136.

<sup>10</sup> Por. G. BACHELARD: *Bestiarium Lautréamonta*. Przeł. H. CHUDAK. W: G. BACHELARD: *Wyobrażenia poetycka. Wybór pism*. Przeł. H. CHUDAK, A. TATARKIEWICZ. Warszawa 1975, s. 73–96.

**B.M.F.:** Czyżby lękał się wielkiej animy i dramatycznie wypierał ciało? A gdybyś dzisiaj to poddał refleksji, bo przecież książkę o Bace pisałeś nieomal ćwierć wieku temu, co byś o tej „furii niszczenia” powiedział?

**A.N.:** Dziś powiedzielibyśmy, że to poezja „afektywna”, ale nie widzę tu rewelacji, bo Czesław Hernas albo Marek Prejs dawno temu nazwali ją „poezją emocji”. W jednej kwestii byłoby łatwiej – myślę o wspomnianej przed chwilą płci „śmierci niechybnej”, także tej kulturowej. Czułem jej dziwność, coś tam plotłem o „pedofilii” i „gerontofilii”. Dziś mamy na to gotowe pojęcie, wręcz idealne – QUEER, no i jest jeszcze jedna etykieta – KAMP, też pasuje; zresztą polscy badacze kampowi pamiętają o Bace. Cała reszta nowych odczytań mnie nie interesuje.

**B.M.F.:** Jak to? Lekceważysz to, co na przykład młodzi mogliby Ci powiedzieć dziś?

**A.N.:** To wyjątkowy przypadek. Badając recepcję Baki, zobaczyłem „karnawał” szokujących pomysłów na interpretację – od Martina Heideggera, przez nihilizm, do punk rocka. I to były skojarzenia tak poważnych ludzi, jak: Czesław Miłosz, Aleksander Wat, Tymoteusz Karpowicz, Bronisław Geremek itd. Pasowała też każda nowa metodologia, bo odkrywała coś istotnego. *Uwagi...* okazały się interpretacyjnym samograjem, dlatego Janion zobaczyła w nich laboratorium do badań nad transgresją, a dla mnie to był triumf anarchii. Rozstałem się z obawami o „spójność metodologiczną”. Wszystko wolno – tego się dowiedziałem...

**B.M.F.:** I na tym wolnym polu wyrosła anarchiczna pokrzywa?

**A.N.:** Najdosłowniej. Bodaj w 1994 albo 1995 roku, w centrum Katowic, w budynku filologii, w gabinecie seminaryjnym stała na parapiecie doniczka po zeschniętej paprotce, przysypana petami. To musiały być zajęcia z teorii Ingardena, skoro sięgnąłem po nią, żeby postawić studentom fenomenologiczne pytanie: „Co Państwo widzą?”. I wtedy sam zobaczyłem – a był to środek zimy – że w tym popiele wyrosła pokrzywa. Żywa, zielona – to właściwie był cud. Zostałem napadnięty jak, nie przymierzając, Szaweł pod Damaszkiem. Nie mogłem o niczym innym myśleć, zawładnęła mną. Zacząłem o niej czytać, a parę miesięcy później, w sierpniu, wracając z wakacji nad rzeką, napisałem jakby Nietzscheański manifest pt. *Urtica*.

**M.T.:** Dzisiejsza perspektywa opowiadania przez Pana o pokrzywie jest zupełnie różna od perspektywy zastosowanej w eseju *Pokrzywa*. Tam, ilekroć pada nazwa „pokrzywa”, pojawia się myślnik albo łącznik odsyłający niefenomenologicznie do literatury. Jest ona wyjaśniana za pomocą literatury niemal nieustannie, nie

jest bytem samoistnym. I dopiero w obecnej Pana narracji, wyzwolonej z literatury, pokrzywa zaczyna żyć własnym życiem.

**A.N.:** Cały esej jest faktycznie długi i spleciony z cytatów, jednak sam początek napisałem inaczej, bo powstał w transie. Tylko raz w życiu coś takiego przeżyłem, poczułem się pokrzywą, która jest bytem wyjątkowo hardym. I na dodatek hybrydą – kwitnącej rośliny, agresywnego zwierzęcia, które pluje kwasem, oraz jakiegoś ducha czy widma niby-ludzkiego, bo ona zawsze pojawia się obok człowieka. Pisałem to w upale, lał się pot, piekła skóra, musiałem się rozebrać, ale czułem euforię. A potem wałkowałem dziesiątki razy każde słowo, sylabę, żeby parzyły, kopały... I żeby ludzie uwierzyli w deklarację na okładce: „czytam Mickiewicza i Słowackiego z perspektywy przydrożnego chwastu”<sup>11</sup>.

**M.T.:** W 1996 roku to pokrzywa była Panu potrzebna. Czy w 2017 roku jest Pan potrzebny pokrzywie?

**A.N.:** Badacze Holokaustu mógłbym powiedzieć, w duchu analiz Zygmunta Baumana, że stanąłem w obronie chwastu, rośliny, którą świat nowoczesny tępi, bo psuje ona „ogrodowy” ład. Ale wtedy nie budowałem takich analogii, choć stawką była „inność”, inne odczytanie literatury, wręcz nieludzkie.

**B.M.F.:** Myślisz, że to w ogóle możliwe?

**A.N.:** Próbowałem.

**B.M.F.:** Ale w ludzkim języku.

**A.N.:** Nie do końca, bo zacząłem od Basho Matsuo, który naucza, że bambusa należy się uczyć od bambusa. A potem zwrot – cytat z Zygmunta Haupta, żeby nie myśleć o koniczynie jak o koniczynie.

**B.M.F.:** Ale jak mówisz: Basho, to mówisz: Wschód. A Wschód zupełnie inaczej postrzega naturę. Basho chyba by milczał.

**A.N.:** Tak, więc uciekam w stronę Haupta, który gada, na dodatek o sobie. Tymczasem pokrzywa dyktuje jakby trzecią drogę, wiedzę „pokrzywioną”. Diogenes był pokrzywą, święty Franciszek też, a wedle antycznego toposu Zoilusa – tak sądził Morsztyn – każdy zajadły krytyk nią się staje. Pani Marto, czy pamięta Pani, że po debiucie w roli recenzentki pytałem, czy się Pani nie boi „żgać i parzyć”?

---

<sup>11</sup> A. NAWARECKI: *Pokrzywa. Eseje*. Sosnowiec–Chorzów 1996.

**B.M.F.:** Ale to nie Marta, a Ty sam przejrzałeś się w pokrzywie. Chciałeś ujrzeć w niej siebie?

**A.N.:** Przeświliłaś mnie boleśnie. Tak, bywam złośliwy i natrętny, mam chole-ryczne wybuchy, a żyć mogę byle gdzie i byle jak, i ciągle gadam, tocząc ślinę jak *urtica* żrący płyn. Faktycznie się w niej rozpoznałem...

**M.T.:** Pytanie, czy ona rozpoznałaby się w Panu?

**A.N.:** Jeszcze Pani mało? Obdarzyłem ją kultem, wziąłem za totem, zostałem totemistą, człowiekiem dzikim. Chrześcijaninowi nie wolno, Żyd się tego brzydzi, a mnie poniosło...

**M.T.:** Dzisiaj mamy badać rośliny i zwierzęta nie jako totemy, ale jako rośliny i zwierzęta.

**A.N.:** OK, mógłbym powiedzieć, że zajmuję się literaturą, czyli marzeniami i duchem, a nie zielenią, ale kto łączył poetykę z botaniką dwadzieścia lat temu? Biografia mi w tym nie pomagała, bo w śląskim domu tolerowana jest tylko doniczka z mirtem (do dekoracji). Na szczęście mój kochany Wujek Teodor miał fikusa, dał nam zaszczepkę i fikus rósł, każdy nowy liść to było zbiorowe oczekiwanie oraz radość; trzeba było go podlewać, nawozić, na słońce wystawiać, liście odkurzać, denaturatem je kiedyś myłem, więc nawet dotyk był, prawie pieszczoty. Podobnie jak z fasolą hodowaną na lekcji biologii. To może jedyne miłe wspomnienie szkolne.

**M.T.:** Słyszę tu śląski akcent, który w eseju *Pod klopsztangą* przeradza się w intuicję, że Górny Śląsk może ukształtować wyobraźnię badacza literatury po swojemu i uczynić z niej wyobraźnię ekokrytyczną. Chciałabym więc zapytać: czy pustka Katowic, którą Pan neguje w latach 90., zapisując między innymi nazwy rzek, przez niektórych, na przykład Filipa Springera, nazywanych ściekami, może rzeczywiście być istotną potencją dla badacza roślin i zwierząt, i dlaczego? Pytam szczególnie o hałdy.

**A.N.:** „Teologię hałdy” głoszę od niedawna, bo w dzieciństwie do hałd miałem daleko, bawiłem się na podwórku w centrum Katowic, na którym teraz rośnie kilkanaście gatunków roślin, ale jak byłem mały, to nie rosło nic, ani jedna trawka, tylko czarna ziemia, więc dobrze się grało w noża. To jakoś symboliczne.

**M.T.:** To były lata 60.?

**A.N.:** Początek. A dzisiaj siadam na rower i za 10 minut – Muchowiec: wielki park, ogrody, stawy, potem prawdziwy las, a dalej już kawałek puszczy i rezer-



waty. Cuda! W dzieciństwie tego nie znałem, bo drogę zamykało gigantyczne torowisko – nie dało się przejść.

**B.M.F.:** Spotkałeś w Katowicach jakieś zwierzę?

**A.N.:** Co ty! Nawet szczura, choć ciągle nimi straszono.

**B.M.F.:** A ryby?

**A.N.:** To akurat inna bajka; miałem akwarium, rodzice pozwolili, bo za szybą, nie brudzi, nie hałasuje, nie biega. Ale z rybą mało kontaktu, nawet dotknąć nie możesz, a wciąż umierają, zasypiają – horror, taki zimny, denny... Więcej życia i fantazji, nie mówiąc o emocjach, daję najędzniejsza glinianka. Ja miałem swój staw na terenie ogródków działkowych pod murem Fabryki Farb i Lakierów – woda czysta z rakami, traszki, żaby, karasie srebrzyste, tajemnicze liny i jeszcze kurki wodne. Bywałem tam o świcie przed lekcjami.

**B.M.F.:** A pies żaden się nie przyplątał? Był pies! Opowiadałeś o nim.

**A.N.:** Jaki pies? W kulturze nowoczesnej, mieszczańskiej czy robotniczej, nie było psów. Chciałem mieć psa, ale nigdy go nie miałem. Kilkadziesiąt moich kuzynów i kuzynek też nie miało i chyba nikt w klasie, tylko Horbulewicz, lecz jego pieska nie widziałem, bo był wymyślony, więc Kazio szczekanie udawał za zamkniętymi drzwiami.

**B.M.F.:** A dlaczego nie można było mieć psa?

**A.N.:** Oficjalny powód był taki, że w mieście zwierzęta się męczą. Ojciec nostalgicznie wspominał Podole, gdzie zmyślny pudel i sprytna klacz żyły niemal na wolności; mityczny dyskurs kresowy jak u Miłosza czy Mickiewicza. Ale w „realu” była też krowa, dzięki której babcia, oficerska żona, przetrwała wojnę i wykarmiła kilkoro dzieci, a później przyjechała z nią w wagonie w 1945 roku pod Wrocław, ale przeczytała nazwę stacji „Psie Pole” i nie chciała wysiąść, i wtedy ta święta krowa się zgubiła.

**B.M.F.:** Karmiono Cię obrazami, ale nie dano żywego psa? Z futrem i zębami?

**A.N.:** Nie, bo mieszkaliśmy razem ze śląskimi dziadkami, a oni byli inni. Dziadek uczył się gry na organach, esperanta, stenografii i czego tam jeszcze właśnie po to, żeby separować się od pola, gnoju i zwierząt. Śląska babcia podobnie – uciekła od kur i krów, rozumiała, że są potrzebne, bo mleko i jajka dają, ale kota na kanapie nie mogła sobie wyobrazić. Zresztą kota w naszej dzielnicy miała

tylko jedna staruszka i jako dzieci myśleliśmy, że to czarownica z bajki. Dziadek wyszedł z kultury rolniczej i wybrał miasto, cywilizację techniczną, książki i instrumenty. Z przyrody pozostała mu woda mineralna, oczywiście w butelce. Nowoczesność izoluje od przyrody w straszliwy sposób.

**B.M.F.:** Higieniczny dyskurs nowoczesności. Jeśli nie musi być czysto, może być pies. Nowoczesność, higiena, eugenika – wiadomo, do czego prowadzą.

**A.N.:** Dlatego jako grzeczne dziecko z mieszczańskiej rodziny zazdrościłem melom i dzikim dzieciom, bo mieli i psy, i pchły, z którymi bawili się beztrąsko, nawet w błocie moralnym i materialnym. Kategoria „społecznego marginesu” straciła wtedy oczywistość.

**B.M.F.:** Kiedyś powiedziałeś, że zwierzęta mówią Ci istotne rzeczy. Czego się od nich nauczyłeś?

**A.N.:** One mówią, że jesteśmy i kim jesteśmy. Brzmi to filozoficznie, ale wyrasta z poprzednich uwag. Obsesyjnie wracam do nowoczesności, która niebezpiecznie uczyniła nas bezcielesnymi, niedotykalnymi...

**M.T.:** Wytworzył się w Pana biografii pewien trójkąt: od podwórka, na którym nie było nic, i domu, w którym nie przebywały zwierzęta, mógł Pan ewentualnie pójść do zoo, a z niego robić wypadki do warszawskich bibliotek, żeby czytać o egzotyce zwierząt w literaturze barokowej. Katowicka utopia Aleksandra Nawareckiego. Bezludna wyspa.

**A.N.:** A potem pojawiły się ptaki.

**B.M.F.:** Papugi?

**A.N.:** Kiedy wprowadziłem się do żony do Chorzowa, zrobiliśmy lokalową rozsadę. Szwagierka z mężem przeniosła się do mojej kawalerki, ale zostawiła nam małą papużkę falistą. Taki mariaż: żona razem z papugą jako parafernalia. Nasze losy związały się na lat kilkanaście, pisałem o niej i pisywaliśmy też razem, może dlatego, że imię miała moje.

**M.T.:** Aleksandryna?

**A.N.:** Nie, Pinturicchio. Dziewczyny nie wiedziały, jak tego ptaszka nazwać, więc odpowiedziałem im, żeby wykorzystały miniaturowość i śliczne kolory. A potem w drugim związku znowu ptasie parafernalia. Tym razem wszedłem między papugi-znajdy, które się rozmnożyły – w sumie cztery nimfy. Mógłbym Was zasypać anegdotami...

**M.T.:** O nie, Pana pisane teksty o zwierzętach, zwłaszcza te dotyczące odległych epok, spełniają kryteria *animal studies*. Między innymi dlatego, że zwierzęta są w nich najważniejsze. Szczególną rolę odgrywają tu ptaki, najmniej podatne na antropomorfizację, najbardziej wyzwolone z ludzkiej wyobraźni.

**A.N.:** Proszę jednak pamiętać, że papugi nas naśladują i mówią naszymi głosami. Pinturicchio przez cały stan wojenny krzyczał: „Solidarność”, w 1989 roku: „Solidność”, a potem: „Dość”. Taki był mądry. Dawniej papugi były lekarstwem dla melancholików, wzmacniały ich ego.

**M.T.:** A czy zgadza się Pan ze stanowiskiem, że zdolność literatury do naśladowania bądź przedstawiania języka zwierząt pozwala jej przyjąć zwierzęcy punkt widzenia? A może w ten sposób my, ludzie, odbieramy głos zwierzętom?

**A.N.:** I jedno, i drugie. Ostatnio fascynuje mnie ptak, który nazywa się łożówka. Parę razy słyszałem go na Litwie i Łotwie, ale dopiero od niedawna wiem, kto zacz. Podobnie jak papuga nie ma własnego głosu, więc imituje inne ptaki, także te, które usłyszała w Afryce, zatem egzotyczne dźwięki, świsty, chrobotania, terkot... Odtwarza je po kolei, w dziwnych sekwencjach, a robi to z taką pasją, że ma się wrażenie słuchania dwu dialogujących ptaków. Moim zdaniem to równie wspaniałe jak śpiew słowika, klangor żurawi, dzwonienie skowronków czy kukanie kukułki, ale literatura, czy szerzej: kultura, tego nie wie. Zapytany o nią świetny ornitolog i poeta Michał Książek nie mógł pojąć, czym ja się zachwycał. Tylko Stanisław Łubieński, ten od *Dwunastu srok za ogon*, wie, że łożówka montuje i miesza frazy podobnie jak didżeje miksujący podkład raperom; ja z kolei w jej dwugłosach rozpoznaję podobieństwo do saksofonowych solówek Johna Coltrane’a albo Heckstall-Smitha grającego równocześnie na dwóch instrumentach. Ale kto nie słucha free jazzu albo hip-hopu, ten nie ma klucza do łożówki, śpiewaka epoki intertekstualnej. Dostałem od niej jeszcze jedną lekcję, ale nie muszę zdradzać wszystkich tajemnic...

**B.M.F.:** Wcześniej podobały Ci się te katalogi zwierząt i ich głosów u Hieronima Morsztyna...

**A.N.:** I nadal głoszę jego chwałę. *Banialuka* napisana u początków XVII wieku powinna być tekstem założycielskim dla *animal studies*, nie tylko w Polsce. Pytacie mnie raz po raz o nieantropocentryczny punkt widzenia, no to macie tam niesamowite rejestry, wręcz litanie, gdzie dziesiątki zwierząt odzywiają się własnym głosem – żubr „beczy”, tur „jęczy”, żbik „mlaska”, a ptasi koncert nie ma końca. „Gwizdał szpak zgodnie z kosem / Jaskółka piskoce, / Gorli synogarlica, gżegzółka gżegoce”<sup>12</sup>; słyszymy, jak z onomatopei wyłaniają się nazwy stosowane

<sup>12</sup> H. MORSZTYN: *Historia ucieszna o królownie Banialuce*. Wyd. R. GRZEŚKOWIAK. Warszawa 2007, s. 101.

przez ludzi, ale to jest inna mowa, którą rozumieją tylko pustelnicy żyjący ze zwierzętami. Bo są święci, ale co ciekawe, ci starcy pozostają bezimienni, podobnie jak większość ludzi w poemacie. Natomiast psich imion, zresztą bardzo wymyślnych, jest kilkanaście. Oczywiście są to psy myśliwskie, bo cała baśń dzieje się w puszczy i utkana jest na kanwie łowów, jednak zabijania tam niewiele. Przeciwnie, mamy ascetyczną dietę bohaterów – *survival* głównej postaci, księcia jedzącego korzonki i wegańskie wyżywienie pustelników, których zresztą karmią same zwierzęta. Blisko stąd do utopii Mickiewiczowskiego Matecznika. I też widzę tu jakąś archaikę, bo ci pustelnicy przypominają mi augurów, starożytnych kapłanów wróżących z lotu i głosu ptaków. Jest tu jakaś sakralizacja zwierząt, to mnie teraz szczególnie ciekawi.

**M.T.:** Wystarczy przywołać brytyjską ekranizację historii o Robin Hoodzie – *Robin z Sherwood*, w której występował Hern, człowiek z głową jelenia.

**A.N.:** Bóg, bóg!

**M.T.:** Duch czy bóg lasu, angielski odpowiednik/wariant Pana, mężczyzna przypominający jelenia. Jednak jego świętość była podszyta okrucieństwem. Stanowiła w pewnym sensie ołtarz ofiarniczy ze zwierząt.

**B.M.F.:** Jak się coś wynosi, to trzeba to zabić.

**M.T.:** Żeby człowiek mógł stać się święty, musiał najpierw zabić zwierzęta?

**A.N.:** Tak to opisują religioznawcy.

**M.T.:** Zatem duża część przednowoczesnej polskiej kultury literackiej powstała na potlaczu ze zwierząt.

**A.N.:** Czytając pedantyczne katalogi Morsztyna i poetów ziemiańskich, mówiłem o „zmysłowej miłości porządku”. To raczej ekonomia rachuby niż potlacz.

**M.T.:** Kres tego rodzaju myślenia opisuje Czesław Miłosz w *Dolinie Issy* w postaci Tomasza Surkonta, który zabija wiewiórkę, żeby stać się człowiekiem księgi. Ale musi również to zdarzenie odpokutować i odbyć po nim żałobę.

**A.N.:** Ale Miłosza też frapował *logos*, biologiczna wiedza, nawet Linneusza chwalił, więc szedł w podobnym kierunku co Sarmaci, tyle że w duchu XX wieku, czego skutki opisał Bauman.

**B.M.F.:** To może w ramach kontry: jest taki ważny tekst Johna Bergera, który bardzo cenię, *Po cóż patrzeć na zwierzęta*<sup>13</sup>. Mówi się w nim, że im więcej wiemy o zwierzętach, tym mniej o nich wiemy i jesteśmy od nich dalej. A władza nazywania i katalogowania jest bardzo antropocentryczna.

**M.T.:** Zmierzamy ku temu, żeby powiedzieć, że mikrologię literacką Aleksandra Nawareckiego ukształtowała wyraźnie antropocentryczna perspektywa przejęta z tradycji zabijania zwierząt, czyli tradycji myśliwskiej. To ostra hipoteza.

**A.N.:** No to teraz na mnie polujecie, ale niech wam będzie; mikrologię można łączyć z filologią, czyli pilnym śledzeniem pisma, jego duktu, zboczeń, potknięć, niemal tak samo jak na polu (stąd polowanie). Wiem to od Carla Ginzburga i z książek Beaty właśnie – ślad, trop, pismo, czytanie, no i narracja też – to prezent od dawnych myśliwych. Kropka. Dziś to jest jakaś archaika, ale w epoce staropolskiej związek myślenia i myślistwa pozostawał oczywisty, a wiedza tych ziemian o naturze wyrastała z autopsji – nie tylko Morsztyna, ale jeszcze Baki. Jakoś im tego zazdrozczę. Kiedy w latach studenckich godzinami siedziałem w bibliotekach, to w chwilach śmiertelnego znużenia brałem z półki *Poetów polskiego baroku*, antologię Jadwigi Sokołowskiej oraz Krystyny Żukowskiej, i dla relaksu, tak jak dziś przegląda się Internet, oglądałem literaturę staropolską.

**M.T.:** Co to znaczy „oglądałem literaturę staropolską”? Oglądał Pan litery? Zdjęcia?

**A.N.:** Inność.

**M.T.:** Egzotykę tej literatury?

**A.N.:** Tak, język, obraz, kolory i – zmierzam do meritum – „nasylenie zwierzętami”; jakoś podobnie wyraził się Claude Backvis<sup>14</sup>, wyróżniając polski barok na tle Europy. Zwierzęta są na każdej stronie, więc ich wypatrywałem i przeżywałem rozkosz.

**M.T.:** Ale to bardzo kolonialny gest.

**A.N.:** Można tak powiedzieć, ale dwunożna istota czasem chce uciec od szpargałów, wyjechać na wakacje, żeby popływać, nazbierać grzybów, jagód i jeszcze dziecięcia posłuchać.

---

<sup>13</sup> Por. J. BERGER: *Po cóż patrzeć na zwierzęta?* W: TENŻE: *O patrzeniu*. Przeł. S. SIKORA. Warszawa 1999.

<sup>14</sup> Por. C. BACKVIS: *Pewne charakterystyczne cechy polskiej poezji baroku*. Przeł. S. KOBIERZYCKI. „Poezja” 1977, nr 5–6, s. 53.

**B.M.F.:** Tyle tylko, że napisałeś w *Poemacie o zwierzętach*, iż najbardziej charakterystyczną cechą zwierząt jest ich skrytość, to, że się ukrywają<sup>15</sup>. Więc ich podglądanie...

**A.N.:** Wiem, do czego zmierzasz, ale tropienie to nie jest oglądanie pornografii. Moją ulubioną zabawą dzieciinną było kolorowanie ponumerowanych pól: smarujesz je kredkami na zielono i wyłania się drzewo, a potem nagle... sowa. Cudowne, ale to zupełnie co innego niż oglądanie ich w zoo, gdzie zwierzęta są wystawione za kratami jak na wystawie sklepowej. Inaczej też pamiętam safari na Łotwie, jeszcze mi serce bije, tam były jakieś krzaki za płotem i napisane, że ryś...

**B.M.F.:** Którego, jak się okazuje, nie ma i to jest w nim najpiękniejsze.

**M.T.:** Czy to by oznaczało, że myślistwo ukształtowało polskie myślenie o zwierzętach i roślinach?

**A.N.:** To jest absolutnie poza dyskusją.

**M.T.:** A czy nie sądzi Pan, że Zagłada wymazała z kultury polskiej tradycję myśliwską, jaką znamy z poezji Morsztyna, i wprowadziła na scenę zupełnie innych myśliwych, nazistów? Dość przypomnieć w tym miejscu film Czesława i Ewy Petelskich *Naganiacz*, oparty na opowiadaniu Romana Bratnego pod tym samym tytułem.

**A.N.:** Sami hitlerowcy z Hermannem Göringiem na czele, z ich obsesją na punkcie Białowieży, pewnie chcieli, żeby myślistwo było wyłącznym przywilejem „rasy panów”; ale ja bym jeszcze przypomniiał PRL, gdzie polowały służby tajne i mundurowe, także Bratny z Petelskimi.

**M.T.:** A dzisiaj jak to wygląda?

**A.N.:** Polowania od wieków są przywilejem władzy: strzelał poprzedni prezydent i minister spraw zagranicznych, teraz jeden minister i mąż pani premier. Może to jakoś słabnie? Nowością jest awantura medialna z myśliwymi i leśnikami, uznanymi za wrogów przez miłośników przyrody, bo zabijają. Prawdziwa linia podziału biegnie jednak gdzie indziej – to przemysł spożywczy, a w perspektywie dziejowej rolnictwo są sprawcami wstrząsającej zagłady zwierząt. I jeszcze te fermy wiatrowe. Wobec medialnego i politycznego szumu nierealna jest poważna

---

<sup>15</sup> Por. M. BIEŃCZYK, A. NAWARECKI, D. SIWICKA: *Tajemnice zwierząt. Tryptyk*. W: *Tajemnice Mickiewicza*. Red. M. ZIELIŃSKA. Warszawa 1998, s. 186–188.

antropologiczna i historyczna debata o łowiectwie, dzięki której sami myśliwi powinni przemyśleć to, co robią, choćby absurd strzelania do ptaków.

**B.M.F.:** Czyżby to oznaczało, że z dzisiejszego myślenia o świecie roślin i zwierząt należy wykluczyć tradycję sarmacką jako literaturę zainspirowaną kulturą myśliwską? Mimo że część z niej aż chciałaby się interpretować nieantropocentrycznie, to nie powinna być tak interpretowana...

**M.T.:** A z drugiej strony, myślistwo, którego strukturę odnaleźliśmy w świecie przednowoczesnym, jest obecne na tyle dyskretnie i głęboko, że trudne do usunięcia ze współczesnej kultury. I, chcemy tego, czy nie, na różne sposoby do nas, filologów, powraca. A skoro tak, to może warto zobaczyć w filologu „drugą” naturę człowieka jako zbieracza roślin?

**A.N.:** W tym momencie przywołuje Pani opozycję między „dobrymi” zbieraczkami i „złymi” myśliwymi, którą skrytykował, wręcz wyśmiał Manfred Sommer<sup>16</sup>. Wspólnota pierwotna była realną spółką kobiet, mężczyzn i dzieci, więc wszyscy zgodnie zbierali i polowali. Co zbierali oprócz owoców i korzonków? Ślimaki, robaki, mrówki, krety, myszy, żaby i inne małe zwierzęta. Łapią je i zbierają do tego samego kosza.

**M.T.:** Ale pierw (albo później) to, co się w nim rusza, mordują.

**A.N.:** Bo zbieractwo jest łowiectwem, które domeną męską bywa tylko wyjątkowo, kiedy trzeba siły, ale przy wielkich polowaniach czy dużych zwierzętach, jak mamut, poluje razem cała wspólnota.

**M.T.:** Więc mikrologia, że do niej powrócę, jakoś by pasowała do tej morderczej skrupulatności łowiecko-zbieraczej?

**A.N.:** Nie zaprzeczam, a nawet dodam, że to część gry, jaką prowadzę z oficjalną nauką od co najmniej dwudziestu lat. Musiałem wówczas wypełnić uniwersytecki formularz, bodaj wniosek profesorski, i w rubryce „zainteresowania” wpisałem po długim zastanowieniu: „ekonomia resztek”. I ten dokument wrócił z rektoratu do poprawki. Dziś z podobnym hasłem zapewne mógłbym aspirować do europejskiego grantu (oczywiście „interdyscyplinarnego”), ale wtedy uznano to za wygłup, więc ostrożnie wpisałem słowo „mikrologia”.

**M.T.:** I tak zrodziła się słynna mikrologia?

---

<sup>16</sup> Por. M. SOMMER: *Zbieranie*. Przeł. J. MERECKI. Warszawa 2003.

A.N.: Wiedziałem, że nauka wymaga nazwy, a każda „-logia” to wiadomo, że od logosu, więc dali mi spokój.

M.T.: A czy tę sprytną mikrologię, choć zrodziły ją czasy powojenne, można zastosować do literatury wojennej?

A.N.: Tę literaturę znam słabo, ale w *Pamiętniku z powstania warszawskiego* wszystko jest „mikro-”: od języka, przez obrazy i przedmioty, po ideologię. My wszyscy z niego... Nic dziwnego, że w serii *Miniatura i mikrologia literacka* Miron Białoszewski ma pozycję „królewską”. Wśród naszych autorów był także Jacek Leociak, którego *Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście* zawsze wymieniam jako podstawowy przykład polskiej „mikrohistorii” i „mikrogeografii”. A teraz mamy nowiutką książkę Piotra Krupińskiego, który wspaniale łączy *animal studies* z subtelnym tonem jakiejś własnej mikropoetyki. Dzięki nim obu w historię wojny wdzierają się zwierzęta, co wcześniej, przynajmniej w moich oczach, nie istniało, a zbitka z Holocaustem – jakakolwiek – była niedopuszczalna, nietaktowna. Bo debata o „holokaucie zwierząt” – pamiętam konferencyjny głos Profesor Kamilli Termińskiej-Korzon – początkowo mnie gorszyła.

M.T.: Czy coś się zmieniło?

A.N.: Chyba tak, skoro sam wspomniałem o „zagładzie”, mając na myśli hodowlę, ale wołałbym uciec od tego wątku. Choćby do Sadownego, gdzie od lat odwiedzam letniskowy dom przyjaciół. To blisko Buga, na granicy Mazowsza i Podlasia, dwa przystanki przed Małkinią. Niedaleko była kolejowa bocznica, z której zjeżdżały transporty do Treblinki. Naokoło rosły piękne lasy, w których dosyć długo ukrywali się zbiegli z obozu Żydzi, a miejscowa komórka AK miała plan wyswobodzenia obozu – więc mimo wakacyjnej aury wiedziałem, gdzie jestem. Ale do Treblinki wybrałem się po wieloletnim wahaniu, rowerem przez bór Jegiel. Dojechałem, a tam właściwie nic nie ma, las, zarośnięta rampa kolejowa, niechybnie pokrzywami, i tylko w jednym miejscu ślad kultu, jakieś lampki.

M.T.: To były lata...?

A.N.: Początek stulecia, szczegóły mi się zatarły, ale pamiętam, że znalazłem wreszcie jakąś tablicę z planem obozu: tu baraki, tam biura, krematorium, brama wjazdowa, a gdzieś obok – zoo. Jakie zoo?

M.T.: Zoo w lesie?



**A.N.:** Zoo w obozie zagłady? Szok. Infrastruktura znikoma, po prostu fabryka śmierci, a tu ogród zoologiczny. Potem pomyślałem, że w tym lesie jakaś sarenka się zaplątała albo lis z przetrąconą łapką i esesmani litościwie domek postavili, dokarmiali, żeby wreszcie coś przyjemnego było. Ale to zoo mogło też stanowić kamuflaż dla ludobójstwa.

**M.T.:** ...tak jak stado gęsi w Sobiborze, a nawet orkiestra w KL Auschwitz-Birkenau.

**A.N.:** Właśnie, dziwne myśli mnie wtedy nękały, Hitler jako miłośnik zwierząt mi się przypomniał, wegetarianin. Ale skoro przywołała Pani Auschwitz, to znowu powraca to niepokojące połączenie natury, wakacyjnej aury i Zagłady. Bo rodzinę mam niedaleko, w Bojszowach, gdzie zresztą moja prababka ukrywała zbiega z obozu, Augusta Kowalczyka, a bliższych krewnych – w Bieruniu Starym. Właśnie tam na początku wojny wujek Johann, murarz, przeczytał ogłoszenie o dobrze płatnej pracy w Oświęcimiu, ale zapisał i spóźnił się na zbiórkę. Jego kamraci od kielni zdążyli, zostali tam zakwaterowani, ale potem zniknęli. Domyśleć się wolno, że to oni zbudowali krematoria; dym z kominów docierał potem do ich rodzinnego miasteczka, gdzie mój ocalony wujek w piękny letni wieczór pociągał nosem i mówił: „Ludzi palą”. I moja mama jako dziewczynka to słyszała i nie może zapomnieć, ciągle o tym opowiada. Domyślam się, że istotne było zderzenie potworności z sielską przyrodą.

**M.T.:** Mama spędziła wojnę w Bieruniu?

**A.N.:** Nie, jeździła tam ze swoją mamą do dziadków na wakacje, podobnie jak ja potem. Notabene, tuż obok znajduje się „fabryka”, czyli zakłady chemiczne, w których produkowano materiały wybuchowe. Na Śląsku często zdarza się taka bliskość zielonej natury i śmiertocnośnej cywilizacji, może dlatego miałem ucho czy nosa, żeby w *Musze* Juliana Tuwima, wierszu z 1939 roku, usłyszeć nie tylko „kosmiczny” krzyk ginącego owada, ale zgrozę umierania na lepy. *Fabryka muchotapek* to powieść Andrzeja Barta o łódzkim getcie, z której się dowiedziałem, że faktycznie produkowano tam lepy. Połączyłem to z faktem, że getto w mieście poety powstało ledwie parę miesięcy po napisaniu tego wiersza. Dlatego wydaje mi się profetyczny, tym bardziej że śmierć tej muchy związana jest z udziałem przemysłu chemicznego.

**M.T.:** Więc mikrologia może przydać się w badaniach nad Holocaustem.

**A.N.:** Powinna. Dla mnie zaczęła się od badań nad „nieokreślonymi obiektami literackimi”, na wzór UFO (w pamięci miałem Bakę). Było to wejście w rejony nieuchwytny, także od strony samego badacza, bo każda metoda ma wymiar mikrologiczny – gdzieś kończy się jej „rozdzielczość”.

**B.M.F.:** I przestajesz widzieć.

**A.N.:** A jeśli nie widzisz, to nie zmierzysz.

**M.T.:** Potrzeba więc wyobraźni.

**A.N.:** Ale też intuicji, bo to wędrowanie po omacku. Jak wyrazić niewymawialne? Milczeć? Dekonstrukcyoniści, jak choćby Shoshana Felman, udzielili pomocy badaniom nad Holocaustem, wprowadzając pojęcia aporii czy wzniosłości, zrozumiałe dla mikrologii – chałupniczej wersji dekonstrukcji. Wielu potem to krytykowało, choćby Leociak, kiedy pytał: jaka niewyraźność? Przecież świadectw jest masa, mogłoby być jeszcze więcej, tylko trzeba je nagrać, zebrać, wydać, komentować<sup>17</sup>.

**M.T.:** Zatem odwrót od skrajnej subtelności, powściągliwości i niewymierności w mówieniu o Zagładzie?

**A.N.:** Właśnie tak, to konieczna korekta, ale ta wymowna cisza, zaniemówienie, brak słów – to nie zniknęło, a mikrolog powinien czytać ciszę, niedopowiedzenia itp. I zdaje mi się, że mam podobne doświadczenie, zresztą dla mnie najważniejsze w tej rozmowie. Jesteśmy w śródmieściu Katowic, blisko ulicy Mikołowskiej, która była granicą rejonu mojej szkoły podstawowej, więc na drugą stronę nie chodziłem, bo bili, zwłaszcza w takich zarośniętych krzakami zaułkach, blisko torów, jak ulica Kozielska, na dodatek ślepa. Ale czasem oglądałem ją z daleka, z okna pociągu i wiedziałem, że jest tam rzeźnia, a dalej koszary, dwa straszne miejsca, jak obóz. Tak to kojarzyłem, kiedy mnie mijały cuchnące ciężarówki z piszczącymi świniami. I sama nazwa: Kozielska, dziwna, jakby „koziół” i „zielsko”. I dopiero jako dorosły przypadkiem się tam zabłąkałem, i nagle widzę wielki cmentarz między domami, zamknięty, zarośnięty.

**M.T.:** ...żydowski, dobrze go znam, brałam udział w pracach porządkowych.

**A.N.:** Właśnie, a ja go nie znałem! Choć pół wieku żyłem obok, ledwie kilkadziesiąt metrów, kilka minut piechotą, w tej samej dzielnicy, parafii; nie dość na tym – znajomi z liceum, ba, przyjaciele widzieli go z okien. I tam na pewno są groby znajomych rodziny. Ale nikt nigdy ani słowem nie wspomniał o tym kirkucie! Jak to możliwe? To proste, za moich czasów o Żydach się nie mówiło i samo słowo „Żyd” było niewymawialne. Także w rodzinach mieszanych, nawet w roku 1968 na Dworcu Gdańskim w trakcie pożegnania. Na Śląsku, gdzie żyło najmniej Żydów, mało też było kontaktów, więc i wrogości, nawet

---

<sup>17</sup> Por. J. LEOCIAK: *Doświadczenia graniczne. Studia o dwudziestowiecznych formach reprezentacji*. Warszawa 2009.

w języku, nie pamiętam żartów, powiedzonek, więc to milczenie łatwiej tu się przyjęło i szczelin było mniej. Pisząc magisterium o Tuwimie, naczytałem się o przedwojennych antysemitach, ale pierwszego zobaczyłem dopiero kilka lat później, w pociągu. Statystycznie to był margines, podobnie jak filosemici, a cała reszta społeczeństwa – prawie czterdzieści milionów – milczała o Żydach przez ponad czterdzieści lat. Antysemityzm jest badany, dyskutowany i zgodnie potępiany, a o fenomenie narodowego milczenia, zapewne naszej polskiej specjalności – ani słowa. To oczywiście skutek Holokaustu, efekt porozumienia, cichego paktu zawartego z polskimi Żydami. Chyba tylko szmalcownicy, także ci partyjni – „marcowi”, łamali ów zakaz. Sam spróbowałem go naruszyć bodaj w 1976 roku, w Danii – bo w Polsce bym się nie ośmielił – gdy o „korzenie” zapytałem wujka Edwarda, który przyjął nazwisko mojej ciotki – czyli moje – ale przez pół życia nazywał się Eliaz Schwimmer. Biografię jako ocalony miał niesamowitą, w domu się o tym oczywiście nie mówiło, więc desperacko się wyrwałem. I wtedy usłyszałem: „Ja przecież jestem katolikiem, a nie Żydem”. Wujek Edek był nadzwyczaj dowcipny i czułem, że ze mnie zakpił. Ale teraz go rozumiem: był obywatelem polskim, urodził się i mieszkał w Polsce, mówił po polsku i porzucił wyznanie mojżeszowe. Jeśli zatem był Żydem, to tylko w sensie etnicznym, czyli biologicznym. Chcąc nie chcąc, zapytałem o krew..., więc nie chciał rozmawiać.

**M.T.:** Mikołaj Grynberg, autor *Rejwachu*, powiedziałby po prostu: bo się bał.

**A.N.:** Mnie?

**B.M.F.:** Każdego.

**M.T.:** Wszystkich.

**A.N.:** Własnych dzieci też? Ja widzę tu przede wszystkim moc tabu, które bywa silniejsze od strachu. I właśnie dlatego literatura może coś nam wyjaśnić. I tak ją czytam, zaczynając symbolicznie od *Non omnis moriar* Zuzanny Ginczanki, która w 1942 roku wykropkowała czy zatarła słowo „żydowski”, a dekonstruującym ujawnieniem i zamknięciem tego milczenia byłyby *Tworki* Marka Bieńczyka, opublikowane dopiero w 1999 roku.

**M.T.:** A pomiędzy tymi datami zupełnie nic?

**A.N.:** Wyjątki zawsze są, jakieś aluzje, przebłyski, choćby Marian Brandys czy Roman Zimand to robili, a zupełnie inaczej, kontrowersyjnie – Artur Sandauer. Mam nadzieję, że przeczytamy o tym wkrótce przenikliwą rozprawę Artura Hellicha – proszę zapamiętać to nazwisko.

**M.T.:** Tak, pisał o Stefanie Szymutce...<sup>18</sup>.

**A.N.:** A zatem wracamy na Śląsk, jeszcze raz do Katowic, tu proponuję ulicę Mickiewicza, gdzie stała wielka synagoga, wysadzona przez Niemców w 1939 roku. Wspominała ją moja babcia, używając niezrozumiałego słowa „bóżnica”, i moja mama, urodzona w 1929 roku, dobrze ją pamiętała, a także jej rówieśnik, Jerzy Świrad, który jako prezydent Katowic w roku 1988 uczcił synagogę obeliskiem. To było jeszcze „za komuny”, co zaskakuje, bo to jeden z pierwszych takich aktów pamięci o Żydach, może pierwszy w Polsce, a sam tekst na tablicy jeszcze dziś robi wrażenie, dlatego że tak się wtedy nie pisało. Świrad nawiązał wówczas kontakt z córkami ostatniego katowickiego rabina i bardzo się zaprzyjaźnili – może to miało jakiś wpływ? Ale to była jego osobista zasługa, podobnie jak wcześniej Katowicki Park Leśny czy Park Róż na terenie Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku, którego zresztą był współzałożycielem; w Tychach też miał jakieś kwietne fajerwerki. Z wykształcenia był architektem zieleni i leśnikiem, a jego ojciec znanym biologiem. Wywodził się z rodziny nauczycielskiej, z potomków galicyjskich ziemian, właścicieli lasów w okolicy Sędziszowa, gdzie zresztą w leśniczówce spędził dzieciństwo i wojnę. Innymi jego pasjami obok przyrody były muzyka i literatura. Świradowie tradycyjnie muzykowali z sąsiadami, czyli z rodziną Pendereckich. Znam te szczegóły, bo w kluczowym roku 1988 Jerzy Świrad był moim teściem, choć znaliśmy się wtedy tylko z widzenia. Dopiero po wyborach czerwcowych, kiedy złożył dymisję i wycofał się z polityki, nasze stosunki znormalniały, ale bardziej osobistych rozmów nie było, czego teraz żałuję.

**M.T.:** Bo mógłby Pan zapytać o pomnik i o to, dlaczego odważył się go postawić?

**A.N.:** Właśnie, a tu mam rozmaite przypuszczenia: ta leśniczówka z czasów okupacji znajdowała się w Czarnej na Rzeszowszczyźnie, w okolicy zamieszkaney w większości przez Żydów, i działy się tam straszne rzeczy, może gorsze niż w Jedwabnem, o czym wiem z *Ziemi Nod* Radosława Kobierskiego. Jej akcja toczy się w tych stronach. To oczywiście powieść – fikcja, ale Radek opierał się na rodzinnych relacjach, jego ojciec zaś od czasów młodości przyjaźnił się właśnie z Jerzym Świradem, pewnie razem chodzili na koncerty, a na pewno – razem polowali. Skądinąd wiem, że Jerzy niechętnie strzelał do zwierząt i później chyba całkiem przestał. Pamiętam, jak złościł się na Włochów, których setki tysięcy (tak!) strzelają do wszystkiego, co żyje, i to celnie; a miał z nimi często do czynienia jako prezydent Tych, kiedy powstały zakłady Fiata. Tuż obok, w Lędzinach, są Kopalnie „Piast” i „Ziemowit”, tam w tej samej epoce, dokładnie w grudniu 1981 roku, odbył się wielki i desperacki strajk, zlikwidowany z pomocą władz miasta, także prezydenta. Udział Jerzego w tej „akcji” uważałem za straszną plamę

<sup>18</sup> Por. A. HELLICH: *Papieros Stefana Szymutki*. Dostępne w Internecie: <http://niewinniczarodzieje.pl/papieros-profesora-szymutki> [data dostępu: 01.09.2017].

w życiorysie. Dopiero rok temu, niedługo po jego śmierci, dzięki radiu poznałem szczegóły tego zdarzenia. Otóż dowodzący planowaną pacyfikacją pułkownik Jerzy Szewieło odmówił wykonania rozkazu zwierzchników i nie wpuścił na teren kopalni czołgów. Tym sposobem zapobiegł masakrze podobnej do tej, która rozegrała się w Kopalni „Wujek”<sup>19</sup>. Komisarz wojskowy Szewieło jest dziś nazywany bohaterem, ryzykował życie, to świetlana postać, ale w grudniu 1981 roku działał ramię w ramię z prezydentem miasta, który – wszystko na to wskazuje – też przyczynił się do zażegnania katastrofy. Więc może była to również zasługa Jerzego Świrada, większa od budowy parków i upamiętnienia Żydów.

**M.T.:** Zastanawiające w tej postaci wydaje się także to, co na pierwszy rzut oka wygląda na sprzeczność: myślistwo i pamięć o Żydach, porównywanych przecież do zwierząt i sprowadzanych do ich roli.

**A.N.:** Jako wyznawca pokrzywy i wielbiciel łożówki rad jestem z połączenia sprzecznych wątków, tego uczy nas również literatura, ale nie zapominam, że takie „przeploty” bywają ryzykowne. Tak jak ten dziwaczny obraz, który natrętnie przychodzi mi na myśl; to chyba najbardziej tajemnicza scena *Lalki* – Ignacy Rzecki kontemplujący „zwłoki zająca” w zakratowanym oknie sąsiedniego domu. Groteska w stylu Goi? Aluzja do biblijnej adoracji miedzianego węża? Myśl o samobójstwie? A może o zagładzie wszystkich słabych i bezbronnych istot? Nie wiadomo, nikt tego nie wie. Ale może nie jest to ludzkie spojrzenie, lecz jakby psie? Bo Rzecki ma zadziwiająco wiele cech wspólnych ze swoim ulubionym pudlem Irem, którego dziwne imię jest monogramem Ignacego R.<sup>20</sup>. Wiemy, że psy instynktownie gonią zająca, chcą go złapać, zagryźć, zjeść. Ale powiesić? To nie mieści się w psiej głowie...

**M.T.:** Do czego Pan zmierza, chyba nie do „zagładowej” interpretacji?

**A.N.:** Tak daleko bym się nie posunął, ale jak to wygląda z perspektywy Ira? Pamięta Pani jego straszliwe ujadanie, kiedy Ignac pijany wracał z szynku? Rzecki tylko w desperacji pił na umór. I tak się pewnie działo, kiedy oniemiały słyszał nienawistne słowa Lisieckiego, Węgrowicza, Kleina czy Szumana i w głowie tłukła mu się straszna myśl: „Będzie kiedyś awantura z tymi Żydami”<sup>21</sup>. I była, już w 1881 roku doszło bowiem w Warszawie do pogromu i właśnie wtedy rodził się nowoczesny antysemityzm. Intuicja pisarza to przeczuwała, ale nieludzkie spojrzenie Rzeckiego i szczekanie Ira jakby sięgały dalej.

<sup>19</sup> Por. A. NOWACKA: *Niezłomny. Rzecz o pułkowniku Jerzym Szewieło*. Red. J. ŁAWSKI, A. LYSKO. Łódź 2016.

<sup>20</sup> Por. A. NAWARECKI: *Świat w oczach Ira*. W: *Zwierzęta i ludzie*. Red. J. KUREK, K. MALISZEWSKI. Chorzów 2011.

<sup>21</sup> B. PRUS: *Lalka*. T. 2. Warszawa 1966, s. 271.